

Rzykant (fragment)

Autor: Anieli Wilk

Wydawnictwo: Burda Książki

Premiera 30.09.2020

ROZDZIAŁ 1

BRUCE

Analizował. Każdy krok, punkt po punkcie, miał rozpisany. Każdą ewentualność, pomysł, trop. To, co niemożliwe, i to, co zaledwie prawdopodobne. Powiesił w pokoju, w którym pomieszkiwał, tablicę korkową i zapisywał na przyszpilonych do niej karteczkach hasła, te zaś z kolei łączył czerwonymi nitkami.

Wyglądało to upiornie. Jak pajęczyna wykonana przez krzyżaka na ciężkim kwasie. Tyle tropów, niewiadomych, ślepych zaułków. Nie widział jednak rozwiązania, drogi, którą mógłby podążać.

– Kurwa – jęknął, strącając kubek z biurka. Spojrzał raz jeszcze na swoją tablicę. Olśnienie jednak nie nadeszło. Dalej wyglądała jak sen wariata, jak plansza z thrillera, w którym ten dobry rozszyfrowuje działania tego złego, aby w rezultacie być krok przed nim.

Wilczur miał poczucie, że się cofa, zamiast ruszyć do przodu. Tym bardziej, że utknął na tym zadupiu bez kontaktu ze światem. Wściekły spoglądał na wycięte z gazety zdjęcie Axa, na którym gnojek tryumfował, chociaż w oficjalnych wywiadach wyrażał ubolewanie nad stratą w ludziach.

– Oczywiście, że straciłeś, kurwa, mnie – warczał, celując w jego wysokie czoło rzutką. Był w tym coraz lepszy, trafiał bezbłędnie między oczy.

Oficjalnie sprawa wyglądała tak, że USA tryumfowały, bo za sprawą agencji rozbito ostatecznie ostatnie kolumbijskie organizacje związane z przerzutem kokainy. To było zakończenie wojny z FARC. Koniec, finito. Wedle prasy Kolumbia była teraz krajem mlekiem i miodem płynącym, żadnej koki, żadnych partyzantów, żadnych lewych interesów i handlu narkotykami. Tak głosiły media i było to jak najdalsze od prawdy, ale zwykły czytelnik miał mieć jasny przekaz – Ameryka znów wygrała! Gówna prawda. Do dwa tysiące siedemnastego w przerzut koki zaangażowany były nie tylko kartele, lecz także rząd Kolumbii – akcja zakręcona i pojebana do tego stopnia, że w sieci powiazań i zależności sam czart by się nie rozeznał.

Ax stał się celebrytą. Wilczur lada dzień spodziewał się zobaczyć jego kaprawą gębę w Tańcu z gwiazdami. Facet był czysty jak łza, jak anioł z barokowych ołtarzy, świecił idealnie gładką dupą.

– Chcesz piwo? Chodź na pomost. – Z parteru dobiegł go podniesiony głos Roberta. Bruce ostatni raz spojrzął na swoją tablicę, obiecując sobie, że wróci tak szybko, jak będzie to możliwe. Robert sugerował mu już kilka razy, że to nie jest normalne, że potrzebuje pomocy specjalisty, że – w końcu – on też przechodził dokładnie przez to samo gówno, tyle że po Iraku.

– Ustaliliś coś? – zapytał, kiedy dostał od weterana puszkę jasnego piwa.

Robert siedział na wędkarskim rozkładanym krzeselku w kolorze fuksji. Wielki niczym góra tysy facet o jasnych jak lód oczach i starannie wystylizowanym zarostcie. Wyglądał jak ktoś, kto z miejsca wysłał cię do piekła. Koleś był diabłem. Nikim innym, ale prawdziwym diabłem, na pozornej emeryturze.

Żołnierz idealny, lojalny, zdyscyplinowany, karny i perfekcyjnie wyszkolony. Walczył na wszystkich możliwych frontach i we wszystkich wojnach. Aż do dnia, kiedy, po kolejnej misji, na oczach dzieciaków z przedszkola numer 151 zabił człowieka. Facet wprawdzie był pedofilem, owszem, ale niewiele to pomogło Robertowi – miał nasrane w papierach, jak mówił. Wypadł z obiegu. Szukał dla siebie teraz miejsca, żebrząc o michę jak bezpieczni pies, byleby tylko ktoś wzięł go do roboty, jedynej, na jakiej się znał.

– Masz siedzieć na dupie i cieszyć się urlopem – odpowiedział mu Robert, nabijając na haczyk białego robaka. Stworzonko jeszcze beznadziejnie wiło się na zaostrzonym drucie, kiedy najemnik cisnął nim w wodę: razem z żytką, ciężarkiem, szałwikiem i całym tym wędkarskim gównem, o jakim Bruce nie miał zielonego pojęcia. Patrzyli obaj na poruszający się na powierzchni wody kolorowy kawałek balsy. Było to z pewnością jedno z najnudniejszych zajęć, jakie tylko Wilczur mógł sobie wyobrazić.

– I niby gapienie się na szałwik jest dobrym pomysłem? – mruknął, częstując się piwem i siadając na pomoście. Krzywił się i syczał, bo rana, chociaż dobrze zszyta, dawała o sobie znać. Zrezygnował już z antybiotyku, ale środki przeciwbólowe pakował w siebie jak cukierki.

Było zimno. Wprawdzie nie padał śnieg i temperatura utrzymywała się minimalnie na plusie, ale i tak świat dookoła wyglądał, jakby miał porządnego doła: szary, zgniłozielony i zasnuty ołowianymi chmurami. Duża wilgotność wysysała z człowieka chęć do życia. Wilczur nie wiedział nawet, jaki był dzień tygodnia, wszystko przeciekało mu przez palce, beznadziejnie tonęło w burym klimacie i melancholii.

– Wiem, co ci łązi po łbie, stary. Jednak teraz polowanie na Axa nie ma większego sensu.

– Dlaczego? – warknął.

Najemnik wzruszył ramionami, nie zaszczycając rozmówcy nawet spojrzeniem i wpatrując się w szałwik. Niesamowicie wkurwiało to byłego agenta. Nie ruszył się jednak nawet o cal. Mocniej zacisnął dłoń na puszcze. Drżała mu lekko powieka. Miał dosyć siedzenia i, chociaż rozsądek faktycznie kazał pozostawać w ukryciu – nawet jeśli jedynie ze względu na rany, które wciąż jeszcze potrzebowały czasu na zaleczenie – nosiło go. Głowę miał przepełnioną, a serce bez przerwy napędzane adrenaliną.

– Bo zapadł się pod ziemię. – Głos Roberta był spokojny, cichy, nudny, jak ten szałwik niewzruszony. Mężczyzna poderwał wędkę i przesunął przynętę pod wodą o dobry metr w lewo. Zdecydowanie tam woda musiała być bardziej mokra. Szałwik zaczął podrygiwać. Robert się napiął.

– Gówno, doskonale wiesz, gdzie jest. Albo możesz wiedzieć! – Wilczur warknął na niego. – Co chwilę widzę jego ryj w wieczornych lokalnych wiadomościach.

Szałwik znieruchomiał, a Wilczur kontynuował swoje powarkiwania:

– Nie traktuj mnie jak ułomnego. Jedyne, czego chcę, to jego łba, i doskonale wiesz, że go zdobędę!

– Tak, wiem – przytaknął Robert.

– Więc ruszmy się!

Były żołnierz pokręcił głową.

– Nie ma opcji. Nie teraz. Przede wszystkim, przypominam ci, że twoje wnętrzności zszywał weterynarz. Nie, że mu nie ufam, ale na twoim miejscu jeszcze bym trochę posiedział i poobserwował własne ciało. Drugi raz cię nie będę nawet zbierał, to bez sensu. Ax jest świadom, że możesz być niezbyt zachwycony tym, co zrobił, jest więc obstawiony przez ochronę jak te ostatnie nosorożce w Afryce. Tu żrą trawę, a obok stoi gwardia pod bronią i strzelają do każdego na horyzoncie.

– Jakie, kurwa, nosorożce?!

W Brusie się zagotowało. Nie znosił bezczynności, tej przymusowej zwłaszcza. W tym momencie nie mógł jednak nic na to poradzić. Ta farma znajdowała się w dupie świata, mógłby, co prawda, bez większego problemu ukraść samochód Robertowi, ale to spowodowałoby, że straciłby

jedyną przychylną mu duszę. No i zyskałby jeszcze jednego wroga. A tych więcej nie potrzebował – cały świat był ich pełny! Użycie telefonu, kart płatniczych, wyjście na jakąkolwiek ulicę gdziekolwiek w całym kraju, to, co dla zwykłego człowieka było czymś oczywistym i naturalnym, dla niego stanowiło pułapkę. Doskonale wiedział, jak bardzo amerykańskie społeczeństwo jest inwigilowane, i świetnie zdawał sobie sprawę z tego, że nie może się pokazać. Wystarczy jedno zdjęcie na Facebooku i ściągnie sobie na głowę wszystkie służby kraju. Nawet strażak będzie chciał mu nakopać do dupy. W końcu był zaginionym seryjnym mordercą.

– Kurwa! – krzyknął, wstając. Brzuch zapiekł, aż tży stanęły mu w oczach.

– Uspokój się.

– Pierdol się! – warknął, rzucając gniewnie niedopitą puszkę piwa w ten przeklęty, nieruchomy spławik.

Robert zaklął, podrywając się na równe nogi. Odkopnięte krzeselko sturlało się z pomostu do wody. Podeszedł do Wilczura w dwóch krokach. Popchnął go, a ten się zachwiał, zrobił dwa kroki w tył, spiął się, gotów do walki i obrony. Czekał na sygnał, impuls, znak do ataku.

– Mógłbyś przestać z łaski swojej zachowywać się jak skończony fiut?! Żle ci, że cię wyciągnąłem z tamtego domu? Spod lufy tamtego pojeba? Żle?! – krzyczał. – Jak chcesz, to zastrzele cię za domem, oszczędzisz wszystkim krwi!

– Robert!

– Nie! Zamknij się. Siedź na dupie i ciesz się, że żyjesz. Dostaniesz swój czas, ale, kurwa, nie w tym momencie, okej?

– Powiedz mi chociaż, co z Alice – wyszczał.

Miał ochotę przypierdolić Robertowi, tak po prostu, bo pewnie to by oczyściło atmosferę. W dupie miał swoje obrażenia, w dupie mógłby mieć nawet tę zemstę, gdyby tylko dostał gwarancję, że Alice nic nie grozi, że jest bezpieczna. O ile jednak miał pewność co do swojego życia i życia Axa, o tyle o Alice nikt nie wiedział nic. Jedynie to, że nie było ciała.

Tylko tyle – bezpieczna, żywa. Z nim lub bez niego. Robert przyznał, że nie znaleźli jej ciała w domu. Ani krwi, ani żadnych innych śladów. Istniało więc prawdopodobieństwo, że przeżyła. Przecież była tak cenna dla Axa, była jedyną, która miała dostęp do skrytki po Adamie. Jedyną, która mogła odebrać zdeponowany majątek.

Robert nie odpowiedział od razu. Zawahał się.

– Nic. Zaginęła.

– Co?

– Zaginęła. Dwa lata nad tym siedzisz i nie wiesz...

– Wiem! – ryknął, przerywając mu.

Odszedł dwa kroki, może trzy. Zatoczył koło, jakby był zamkniętym w klatce drapieżnikiem. Czas przeciekał mu przez palce, ale Robert miał rację: wychylenie się z ukrycia tylko po to, aby dać upust frustracji, było bez sensu. Nie w kraju najeżonym kamerami, nie, mając przeciw sobie wszystkich federalnych!

Rozluźnił się. Opuścił nieco ramiona, spoglądając prawie przepraszająco na Roberta.

– Mamy jakiś plan na teraz?

– No. – Cmoknął. – Ja muszę iść po nowy osprzęt, bo jakiś debil wrzucił puszkę do jeziora i szlag trafił mi spławik! – warknął, ruszając w kierunku domu. Nie miał zamiaru kontynuować rozmowy. Wiedział, że Bruce myśli chaotycznie, że kieruje się emocjami, a nie racjonalnym podejściem do sprawy.

Były agent został sam na pomoście. Kręgi po wrzuconym w toń śmieciu zastąpiły te po kropkach deszczu. Chłód wchodził pod ubrania, ziąb gryzł w odkryte części ciała. Najważniejsze, że żył. Drugim, co się liczyło, było to, że Ax wciąż żył, a zdecydowanie nie powinien. Na samą myśl o Alice i jej zniknięciu Bruce cierpiał.

Wiedział, że zachowuje się irracjonalnie i emocjonalnie, jakby był jakimś cholernym amatorem. Wiedział, że w tym stanie będzie popełniał błędy, dlatego potrzebował Roberta – by myślał za niego, kiedy w Wilczurze gotowała się krew. Nie radził sobie z izolacją i brakiem zajęcia. Skierował się za dom, do drewnutni – rąbanie zmarzniętych drzew było tym, co pozwalało mu się wyciszyć. Wprawdzie groziło też rozejściem się świeżej rany i poważnym krwotokiem wewnętrznym, a możliwe, że i martwicą jelit, ale to nie miało znaczenia. Znaczenie miało to, że mógł zająć czymś głowę, uwolnić nadmiar energii, że mógł powtarzać tę idiotyczną czynność aż do momentu, w którym ze zmęczenia dosłownie zaczynał rzygać, aż do wycieńczenia. Tylko wtedy czuł, że żyje. Wówczas zwykle wracał do swojej nory, gapił się na tablicę, pił piwo, oglądał programy informacyjne. Ignorował wszystkich poza Robertem. Dlatego też siostra byłego żołnierza miała permanentnie złamane serce.

Miała dwadzieścia kilka lat, na imię Kate. Wpadała zwykle bez zapowiedzi. Uzupelniała im lodówkę, spizarkę, czasem coś ogarnęła w domu. Zawsze długo i na osobności rozmawiała z Robertem. ryzykant